

Historia rybaka, Czerwonej Księżnej i bomb wodorowych, które nie dotarły nad Polskę

7 stycznia 2022

Podczas gdy 17 stycznia 1966 r. w zaśnieżonej Warszawie trwały obchody rocznicy dziś wyklętej, a cała komunistyczna Polska szykowała się już pełną parą do uroczystości tysiąclecia chrztu, 38-letni hiszpański rybak Francisco Simó Orts, pogwizdując sobie wesoło, zarzucał sieci na krewetki w Morzu Śródziemnym, na wysokości Palomares. Pogoda była wspaniała, słoneczna, gdy dostrzegł mały rozbłysk na czystym, błękitnym niebie. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to zły znak, a jednocześnie zapowiedź cudu.



Zanim doszło do błysku w oczach rybaka, prawie 10 km nad nim pilot strategicznego bombowca B-52, Larry Messinger, zmęczony już wielogodzinnym lotem nad Atlantykiem nie gwizdał ani trochę, gdyż wykonywał delikatny manewr zbliżenia się do innego amerykańskiego samolotu (KC-135), by podłączyć się do sztywnej rury tankowania w powietrzu. Kapitan Messinger był przejęty, bo miał na pokładzie cztery bomby H, czyli termojądrowe, przy których ładunki atomowe spuszczone na Hiroszimę i Nagasaki to zabawki dla dzieci.

Oba samoloty nie brały udziału w ćwiczeniach, tylko w misji bojowej z cyklu „operacji Chrome Dome”, których celem było utrzymanie blisko ZSRR bombowców strategicznych gotowych do natychmiastowego ataku. Teoretycznie B-52 miał tylko zrobić kółko nad Adriatykiem, ale z Pentagonu co jakiś czas nadchodził rozkaz, by polatać z bombami przy samej granicy ZSRR, zawadzając o Polskę zresztą, i postraszyć Moskwę z Warszawą. Messinger i jego zmiennik kapitan Charles Wendorf

wykonywali właśnie taki rozkaz. Pojawił się jednak mały problem.

Zrywaj, zrywaj, zrywaj!

Około 10.30, kiedy w Warszawie polski premier Józef Cyrankiewicz składał wieniec pod pomnikiem wyzwolicieli dziś wyklętych, kapitan B-52G Strathofortress rozpoczął manewr zbliżania się od tyłu do latającego tankowca przed nim. Zbliżał się nieco za szybko i trochę za wysoko, ale był spokojny, bo gdyby tak było, rozległby się proceduralny krzyk żołnierza obsługującego rurę, tzn. potrójne „zrywaj!”, co było mniej więcej przodkiem słynnego, komputerowego „pull-up!”, znanego z naszego samolotu smoleńskiego, też bezskutecznego. Do dziś nie wiadomo, dlaczego żołnierz siedział cicho, gdyż był pierwszą osobą, która zginęła w zderzeniu samolotów.

Ale to nie zderzenie zobaczył Francisco ze swojej łodzi. Rozbłysk, który rzucił mu się w oczy, był eksplozją w powietrzu B-52, która nastąpiła dość szybko, gdyż pożar okazał się gwałtowny. Zanim to się stało, trzech ludzi w bombowcu i czterech w tankowcu już nie żyło. Kapitan spuścił bomby H, by mu nie wybuchły za plecami, i wraz z ocalałą trójką załogi wkrótce wyskoczył ze spadochronem, w ostatniej chwili. Minęło jeszcze kilkanaście sekund, gdy rybak Francisco Simó z Palomares przestał gwizdać: zauważył, że coś na niego spada, dokładnie na niego.

Madre de Dios!

Było to jakby błyskające w słońcu cygaro, za którym ciągnął się „dym”, tzn. splątany spadochron hamujący. Francisco rzucił się jak oszalały do wioseł patrząc cały czas górę, zaraz zakręcił, bo wydało mu się, że płynie jednak pod to coś spadającego, uciekał ile sił, podczas gdy zanurzone sieci hamowały jego łódź dużo lepiej, niż spadochron bombę – szczęśliwie została ona połknięta przez morze o paręset metrów

od niego. Bomba nie wybuchła, miała prawie kilometr do dna, ale sama fala powstała po jej upadku uszkodziła łódź i rybak ledwo dopłynął do brzegu, by pobieć do proboszcza i przysięgać, że Matka Boska uratowała mu życie. Nie wiedział jeszcze wtedy, że był to ładunek termojądrowy o sympatycznym imieniu Robert, nadanym mu przez Pentagon. Robert mógł zamienić pół Hiszpanii w dymiącą pustynię.

Teoretycznie, skoro chodziło o awaryjne spuszczenie czterech bomb, powinny były otworzyć się spadochrony hamujące, ale prawidłowo otworzył się tylko jeden. Jedna z pozostałych trzech bomb wpadła do rzeki, a dwie walnęły w ziemię, niedaleko miasteczka. Szczęśliwie ładunki inicjujące odpaliły niesynchronicznie. Bomby wodorowe składają się właściwie z dwóch bomb: atomowej i termojądrowej, gdzie pierwsza jest zapalnikiem drugiej. Zapalniki bomb atomowych zadziały nie po kolei, więc doprowadziły tylko do rozlania radioaktywnego plutonu, skażając kilka kilometrów kwadratowych. Gdy rzecz stała się wiadoma, proboszcz zarządził msze dziękczynne dla Matki Boskiej, gdyż miasteczko jednak ocalało.

Fake news!

Gdy depesze o wypadku zaczęły docierać za Atlantyk, departament obrony Stanów Zjednoczonych wystosował komunikat jasno dementujący, jakoby armia miała zgubić cztery bomby wodorowe. Wieści o bombach nazwał jako „fałszywe”, wymyślone przez „wrogów NATO”. Podczas gdy w Ameryce zapadła na ten temat oficjalna cisza, amerykańska dyplomacja wydzwaniała do rządzącego Hiszpanią, zaprzyjaźnionego dyktatora Francisco Franco, by załagodzić sprawę. Amerykanie obiecali wszystko posprzątać, łącznie z wywiezieniem do Stanów skażonej ziemi. Dali nawet małe odszkodowanie dla rybaka, za które kupił sobie marynarkę i ciemne okulary (nosił je do końca życia): w miasteczku nazwano go najpierw „Amerykaninem”, a potem – co się ustaliło – „Paco el de la bomba”.

Francisco Simó pomógł Amerykanom wytypować miejsce, gdzie mniej więcej spadł Robert, ale z powodu kółek, które krytycznego dnia w panice zrobił na morzu, nie było to zbyt dokładne. Wojsko USA szukało bomby trzy miesiące, zanim w końcu ją wydobyło. Żołnierze zapakowali też do beczek 1400 ton skażonej, wierzchniej ziemi rolnej i wysłali do Południowej Karoliny. W miasteczku burmistrz martwił się o sezon turystyczny, więc amerykański ambasador Angier Biddle Duke, na prośbę gen. Franco, wraz z kilkoma jego ministrami, wykąpał się w morzu w obecności licznych mediów, by dowieść, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa radioaktywnego. Z ostrożności, ambasador z ministrami wykąпали się o ponad 15 km dalej od wybrzeża Palomares, lecz na zdjęciach nie było tego widać.

La Duquesa Roja

We frankistowskiej Hiszpanii partie lewicowe i także związki zawodowe były surowo zakazane, jednak był ktoś, kto po wszystkim ujął się za mieszkańcami Palomares, którzy mimo wszystko zaczęli się buntować. Pierwsze przypadki raka wystąpiły nadszpodziewanie szybko; można było się kąpać, ale nie łowić ryby, turystyka padła, mimo amerykańskiej reklamy, niczego nie można było uprawiać i miasteczko zaczęło klepać biedę dużo większą niż zwykle. Zainteresowała się tym niespodziewanie arystokratka – i to z najwyższej arystokracji hiszpańskiej – księżna Luisa Isabel Álvarez de Toledo y Maura (nazwisko skrócone, by nie zajęło całego akapitu), szybko przezwana przez prasę Czerwoną Księżną, tzn. podejrzaną o komunizm.

Wbrew swej licznej rodzinie, Czerwona Księżna nie uznawała gen. Franco za prawowitego przywódcę kraju, była republikanką i postanowiła pomagać rybakom i rolnikom dotkniętym skutkami katastrofy. Wzięła udział w manifestacji mieszkańców Palomares, choć ten „wybryk” parafian głośno potępił sam proboszcz. Policja oczywiście aresztowała co znacniejszych, zbuntowanych obywateli, jak i księżnę, ale ona siedziała w

więzieniu tylko osiem miesięcy, bo generał jednak lubił arystokrację. Po wyjściu z więzienia księżna już dyskretniej organizowała pomoc, aż w końcu została zmuszona do emigracji do Francji. Była łagodnie traktowana, gdyż Franco szczerze uważał ją za wariatkę.

Co z Warszawą?

Choć w 1966 r. Amerykanie uznali, że wszystko posprząтали, na miejscu liczniki Geigera dostawały szau. Administracja gen. Franco postanowiła po prostu pogrzebać aferę, bo Stany Zjednoczone odmówiły dalszego czyszczenia. Kłopotem Pentagonu było wtedy pytanie, dlaczego właściwie bomby nie wybuchły. Co by było, gdyby należało je zrzuć na Warszawę, czy Leningrad? Nastąpiło więc ulepszanie bomb typu B28, kolejne testy, próby jądrowe, nowa produkcja itd. Oczywiście w Moskwie i nawet w Warszawie robiono sobie z tego podśmiejchujki po cichu, ale też wzmożono czujność. Wypadek nuklearny w Palomares miał konsekwencje dla NATO: przyspieszył decyzję Francji (prezydenta de Gaulle'a) o wycofaniu się ze struktur wojskowych tej organizacji.

Dopiero po śmierci Franco hiszpańska dyplomacja zaczęła upominać się w USA o dokończenie czyszczenia środowiska. Negocjacje trwały i trwały. W 2008 r., podczas boomu budowlanego na hiszpańskim wybrzeżu, trzeba było ominąć Palomares, gdyż Ameryk (pierwiastek promieniotwórczy pochodzący z rozpadu plutonu) ciągle przekraczał maksymalne normy. W 2010 r. Hiszpanie postawili coś w rodzaju dyplomatycznego ultimatum, ale trzeba było jeszcze pięciu lat, by Amerykanie zareagowali: zgodzili się wywieźć jeszcze do USA 50 tys. m. sześciennych skażonej ziemi. Niedawno częściowo to zrealizowali.

A rybak?

W 1966 r. Francisco Simó był zadowolony, że ocalił życie i że wszystko stosunkowo dobrze się skończyło. Problemem była stracona łódź. Jakiś adwokat poradził mu, by ubiegał się o należne mu 1 proc. znaleźnego zapisanego w prawie morskim, gdyż przyczynił się do odnalezienia bomby termojądrowej, wartej wtedy – według Pentagonu – dwa miliardy dolarów. Gdyby mu się udało, należałby do najbogatszych ludzi w Hiszpanii. Pojechał nawet do Ameryki, by się „upomnieć o swoje”, lecz zaoferowano mu jedynie dyplom uznania i poklepano przyjaźnie po plecach.

W Palomares wszyscy lubili „Paco el de la bomba”, był sławny, więc po cichu zorganizowano – z udziałem Czerwonej Księżnej – zbiórkę na łódź i w końcu dostał mały kuter, na którego tle fotografował się w ciemnych okularach „od Amerykanów”. Niestety, przy okazji pokłócił się z proboszczem zaniepokojonym zbiórką, która mogła osłabić zawartość niedzielnej tacy.

Dwa lata później Amerykanie znów zgubili bombę, tym razem na Grenlandii, i od tego czasu nic już o „incydentach nuklearnych” związanych z armią USA nie przedarło się do mediów.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu